

Gołębiowski, Stefan

Fortunat, "Miesięcznik Literacki" 1972,
nr 1 (65) : [przedruk]

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 25, 85-102

2011

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

zowy, lecz stale odnawiający się sens istnienia, który decyduje o wartości dorobku skazanego na zapomnienie wobec ogromu potrzeb narastających.

Nie była to droga łatwa. Od dzieciństwa przez młodość, wiek dojrzały aż po schyłek szedłem przez szereg klęsk i więcej zawdzięczam klęskom niż zwycięstwom. Klęski mobilizowały mnie do walki, a zwycięstwa najczęściej rozbrajały.

Przez klęski dźwigałem się z upadku i odnawiałem wolę życia, które toczyło się na prawach stałego odraczania wyroku. Zapowiedź jednego ustępuje drugiemu, trzeciemu i coraz nowemu, i coraz dalszemu w procesie warunkowych odroczeń.

W ten sposób doszedłem do wieku poważnego, który zawdzięczam nie mniej sobie, jak ludziom, co mi sił dodawali w podejmowaniu wciąż nowych zadań, na przekór wszystkim dotychczasowym wyrokom.

Jak dotąd w sobie i w lustrze żyję i żyć będę do czasu, aż je prześcieradło śmiertelne przysłoni.

FORTUNAT

„Miesięcznik Literacki”, 1972, nr 1 (65)

Stworzenia świata nie było. Świat nie został stworzony. Na obraz i podobieństwo wegetacji. Nieciecz powstrzymana w biegu i Bielun powstrzymany w rozwoju.

Małomiasteczkowe środowisko dulskie. Jakby ruchliwe i zabiegliwe, lecz ruchliwością i zabiegliwością nade wszystko o dzień dzisiejszy. O chleb powszedni. Bez widoków na odmianę i bardziej racjonalną egzystencję. Zamknięte we własnym ekskluzywnym szwargocie.

Do tego żydowskiego świątka, jak ułał, pasował miejscowy ośrodek szewców. Dobrze znany z rzemiosła tandetnego, z przedsiębiorczości handlowej, z machinacji nieuczciwych i z wielkiego przyrostu naturalnego dzieci chodzących bez bucików, co najwyżej w korkach i chodaczkach.

Fach nagminny, główny albo dodatkowy, bo bez kopyta łatwo wyciągnąć kopyta. Z samej ziemi nie wyżyjesz. Ozimek, zagon pod karto-

fle i żyto, to stanowczo za mało, żeby nawet wegetować. Zwłaszcza bez ogona, to znaczy bez suchotniczej krowy. Mleka dawała mało, za to wiele ryczała. Jakby rodowód wywodziła od biblijnych siedmiu krów chudych z wróżebnego snu faraona. Konie głównie istniały na peryferiach u prawdziwych gospodarzy i zarazem furmanów jarmarcznych.

Wśród tych ugrupowań społecznych osobne koło, nazwijmy je kre-dowym, tworzyła miejscowa inteligencja. Śmietanka towarzyska. Doktor, aptekarz, ksiądz, sekretarz sądu, pokątny adwokat, nauczyciel, na-czelnik poczty, drobniejsi urzędnicy i ludzie na dorobku, z aspiracjami. Towarzystwo wzajemnej adoracji z poczuciem własnej ważności i am-bicji niewspółmiernych do poziomu zawodowego i umysłowego.

Z tego właśnie środowiska inteligencji pochodził Ludwik Fortunat, który w świecie marazmu i zastoju nie widział dla siebie większych możliwości. Ruszył zatem z miasteczka do wielkiego miasta, do stoli-cy, żeby po latach z kapitałem w handlu zarobionym i przez wielki los wygrany na loterii pomnożonym powrócić i zabłysnąć głową do po-złoty, jako jeden z epigonów Wokulskiego. Prowincjonalny.

Pryncypał i kabotyn, filantrop i liczykrupa, nowator i megaloman, Napoleon w geście, a z postury kupczyk, Don Juan bez urody, uwodzi-ciel dam i poławiacz spódniczek, słowem, Ludwik Pierwszy. A potem regres, drugi, trzeci, piąty, dziesiąty, aż do ostatniego. Do detronizacji. Rok 1905. Słyszę trąbkę pocztyliona. Poczta biedka w jednego ko-nia. Wzdłuż ogrodu tryftą. Miejscowy kurier, zwiastun nowin. Zapowie-dzi na lepszą przyszłość. Na jutro wyzwolone i bardziej sprawiedliwe.

Czas gorący. Kuźnie kują pod robotniczym przewodem. W mia-stach rosną barykady. Sztandar czerwony powiewa. Nie na długo. Stra-cone złudzenia. Romantyzm w nowym wcieleniu przeżywa klęskę? Tak i nie.

Słyszę trąbkę pocztyliona. Zwiastuje powrót Ludwika Fortunata, który w szerokim świecie zdobył majątek. Wraca po rozgłos. Nowy pozytywista. Zaczyna od podstaw. Jakby jeszcze chciał wejść do po-wieści o Wokulskim.

Nie darmo chłopcem, jako syn poczmistrza, rzucił świat mały w poszukiwaniu wielkiego. Zaczął od nic i po piętnastu latach Fortu-nat zdobył fortunę nad spodziewanie.

Szczęście w handlu, los wygrany, posag żony, otwarte kredyty hi-poteczne i prywatne złożyły się na to. Summa summarum już nie grosz grubszy, lecz kapitał. Nie w kij dmuchał. Sto tysięcy, kto da więcej.

Moje sto tysięcy. Z ludowej pieśni o dziewczynie? Nic podobnego. Sto tysięcy w dziewczynie, skarb przywiązany i odczepić się trudno. Mój tymczasem wymienny. Z waszym udziałem i z waszą pomocą.

Tak się podobno przechwalał na zabawie ludowej, urządzonej sumptem własnym dla miejscowego społeczeństwa z racji swego powrotu. Jak lata najbliższe pokazały, nie bez wątpliwej racji.

Ruszyło martwe ciele ogonem i zaczął się ruch w mrowisku. Przede wszystkim w budownictwie. Nie miał o nim zielonego pojęcia, a budował z głową. Dwoił się i troił, pełen niespożytej energii. Zaskakiwał pomysłami, rzekłbyś z rękawa je wytrząsał.

Nie darmo z podziwem mówiono: machnięciem ręki decyduje. Po napoleońsku. To mu najbardziej odpowiadało. Nogę zdecydowanie wysuwał naprzód, ręce w tył spletał i głos podnosił wyzywająco. Rzekiego dystansował.

Postaw się i zastaw. Na Starym Rynku, na skrzyżowaniu z ulicą Warszawską, po z górą roku, stanęła dwupiętrowa kamienica narożna. Niebetyk bieluński pod skład win i sklep towarów kolonialnych. Minęło ponad pięćdziesiąt lat, co mówię, ponad kopę lat, a drugiej takiej jeszcze nie ma. Kamienica nad kamienice przeniesiona z dziewiętnastowiecznej Warszawy.

To w centrum, a przy ulicy wiodącej, przy Sierpskiej, szykowna willa podwarszawska. Z facjatą, balkonem, z dwoma pięknie oszklonymi gankami, oprawna w zieleń ogrodu, jako perła Bielunia pomalowana na perłowo.

Swego czasu Belwederem zwana, dziś ogołocona z secesyjnych urozmaiceń, ma wygląd pożałowania godny. Ulica przez asfalt się podniosła i do reszty dawną willę zdegradowała. Kto ją z tamtych czasów pamięta, oczom nie wierzy. Okropieństwo. Lepiej nie patrzeć.

Kamienica miała ciasne zaplecze i nie dawała odpowiedniego terenu pod szerszą zabudowę. Pod tym względem willa nad nią górowała obszernym placem od strony ogrodów. Po domach dla ludzi w pierwszej kolejności stajnie dla koni. Nieraz dwudziestu i więcej. Obok wozownia, a w niej powóz i kocz, kryte lando i wolant. Stach Wokulski pod tym względem do Ludwika się nie umywał. Takich cugowych koni nawet w okolicznych dworach próżno szukać.

To jedna ściana. A druga do połowy: piekarnia. Nowoczesna z wypiekami aż do wypieków na twarzy. Rogaliki, kajzerki chrupiące,

bułki paryskie, bułeczki warszawskie, babki, babeczki. Chleby w różnych gatunkach. Do zaostrenia smaku sitkowy, gryzkowy, razowy. Pono piekarz wychodził ze skóry, żeby skóra na chlebie była smaczniejsza.

W bok od piekarni w drugiej połowie ściany — elektrownia. Nowy wiek nie tyle oświecenia, ile oświetlenia domów i ulic. Wcześniej niż w powiecie. Przewyciężenie kaganka, świeczki i lampy naftowej. Tak by się wydawało, a w rzeczy samej światło nie dla biednych, lecz dla bogatych.

Dzięki tym pracom budowlanym i dzięki urozmaiconemu frontowi prac towarzyszących podniosła się stopa życiowa miejscowych murarzy, cieśli, stolarzy, różnego rodzaju rzemieślników i sił niefachowych. Zarobki pozwoliły przejść od chleba czarnego do pytłowego.

Na tyle starczyło. Na więcej funduszków zabrakło. Bieluń drewnianym jak był, takim pozostał. Jedyne Kirszensztajn pokusił się i wybudował kamienicę całej parady — jednopiętrową.

Jedna czy dwie jaskółki nie czynią wiosny. Trzeba było dopiero dwóch wojen i nowej rzeczywistości, żeby zdegradowana do wsi osada przybrała bardziej nowoczesny wygląd i zaczęła zdradzać aspiracje nieraz większe od miasta powiatowego. I to bez żadnych inwestycji mieszkaniowych.

Fortunata za grobem zwycięstwo? Na taki pomysł nikt jeszcze nie wpadł i na to się nie zanosil. Nawet własnego pomnika z firmową tabliczką nie ma na cmentarzu. Znamy adres bardziej niezawodny.

Tymczasem sławę budowniczego przysłonił kupiec. Z powołania. Kupiec nad kupcami, jakiego jeszcze nie znała zapadła prowincja. Właściciel sklepu narożnego w oprawie kamienicy widocznej jak na dłoni ze wszystkich stron. Tylko z kościołem mogącej iść w porównanie.

Na zewnątrz sklep miał pięć okien wystawowych z wnękami jak drzwi wysokimi na składane skrzydła okiennic. W ściętym narożniku drzwi wejściowe we wzorach szklone. Nad nimi szyld firmy: LUDWIK FORTUNAT, a po bokach dwujęzyczne: SKŁAD WIN I SKLEP KOLONIALNY.

W obramowaniu kamienicy, okazały na zewnątrz, urozmaicony balkonami, sklep nade wszystko olśniewał dekoracyjnością wnętrza. Wyposażeniem przeniesionym ze sklepu wielkomiejskiego.

Pamiętam z pierwszych lat dzieciństwa. Zostałem wysłany po sprawunki. Na wprost ulica, na skos rynek, odpowiednie wejście i odpo-

wiednie zachowanie się. Wytrzeszczam oczy i patrzę jak cielę na malowane wrota.

Nic dziwnego, że długi przez cały sklep kontuar z podziwu od ściany odskoczył na dobry dystans. Zresztą ściany nie widać. Tylko szafy. Najpierw głębokie, zamczone na towary pierwszej potrzeby. Na nich skośne gabloty na przyprawy korzenne i delikatesy. Z oszklonych gablot wyskakują oszklone szafy płytsze, ale za to wysokie. Przez szkło wzorzyste widać piramidy konserw, marynat, pudła barwne z herbatą i kawą, przegrodzone głowami cukru od czekoladek w bombonierek i od bakalii w pudełkach. Wreszcie z szaf strzelają w górę trzy kondygnacje baterii. Jak się później dowiedziałem, wina szampańskie, węgierskie, koniaki, likiery.

Z dala za plecami klientów znajdujących się przy kontuarze mogłem się dłużej, niż wypadało, gapić i podziwiać bogactwo wyposażenia sklepu i rozmaitość jego kolonialnych towarów.

Ktoś jednak z tyłu mię popchnął i od przodu usłyszałem głos wyśłańca szaf: Proszę, kawalerze, czym mogę służyć? Jakiż tam ze mnie kawaler. Wolne żarty. Ślinę z trudnością przelknąłem i ze ściśniętego gardła wykrztusiłem, po co przyszedłem. Pieniądze położyłem na lakierowanym blacie i mimowiednie rzuciłem okiem w głąb.

Ścianę poprzeczną zamykał bufet z kantorkiem. Właśnie stamtąd z okularami na końcu nosa wychyliła się podejrzliwa głowa surowo patrząca, tak mi się zdawało, w moją stronę. Aż po skórze ciarki przeszły. Jakbym coś niechcący przeszkrobał.

Nie wiem, kiedy w rozlatanych rękach moich znalazły się torby z zakupami. Jedna z mąką, druga z cukrem, a trzecia z solą. Przycisnąłem je dobrze do siebie i na wszelki wypadek ukloniłem się w stronę tego Pana o podejrzliwej i surowej twarzy.

Z ulgą i skwapliwie ruszyłem w stronę drzwi wyjściowych. Nie szedłem, lecz sunąłem po czarno-białych śliskich tafelkach, jak po lodzie. Przez okno drzwi już wychodził naprzeciw rynek, kiedy usłyszałem za sobą: Kawaler zapomniał o czapeczce z uszami.

Kawaler z uszami, to już stanowczo za wiele, cofnąłem się tak gwałtownie i tak niefortunnie, że straciłem równowagę i padłem jak długi. Cukier i sól, tak sobie sprzeczne, zachowały się w swoich torbach przyzwoicie, ale mąka, widocznie dobrze przyciśnięta, dmuchnęła mi w twarz i zakurzyła cały przód paltka. Wyglądałem pewnie, jakbym z ojcowego wiatraka dopiero co wyszedł.

Jeszcze się na dobre nie podniosłem, kiedy jeden subiekt postawił mię na nogi, chusteczką twarz wytarł i ubiór otrzepał. Drugi tymczasem wcisnął mi do rąk cukier, sól i drugą w nowej torbie mąkę. Trzeci mi-giem zmiótł rozsypaną i mokrą ściereczką przetarł kamienną posadzkę.

Nikt na mnie nie krzychał za to, że byłem taki niezgrabny, nikt nie wymyślał. Coś podobnego jeszcze mi się nie przytrafiło. Coś, co przechodzi pojęcie ludzkie, a co mówić, mało-ludzkie.

Na pożegnanie ukradkiem spojrzałem w stronę surowego Pana. Nie był tak surowy, uśmiechał się pod wąsem, jakby mu się jaki dobry kawał udał. Ze słowem przepraszam jeszcze raz się ukloniłem i przez grzecznie otwarte drzwi ze sprzecznymi uczuciami wyszedłem. Z westchnieniem ulgi.

Po tej niezgrabnej przygodzie przez długi czas nie miałem odwagi zajrzeć do tego sklepu, chociaż subiektów jego zachowałem we wdzięcznej pamięci. Nigdy więcej podobnych nie było.

Nie są już subiektami, a mimo to w ich charakterystycznej postawie, w ich usługowym geście ze słowami: Co proszę?, w uklonie niezawodnym: Moje uszanowanie, od razu można było poznać, że wyszli z kupieckiej szkoły Pana Ludwika, subiekta warszawskiego, a następnie pryncypała w całym tego słowa znaczeniu.

Sklep miał wszystkie warunki, żeby skutecznie konkurować z brudnymi i tandetnymi sklepikami żydowskimi. Swoją nowoczesnością i wystawnym przepychem. To mu z początku pomagało, a potem, niestety, szkodziło.

Kiedy minął chwilowy run nowości, poza okolicznym ziemiaństwem, miejscową inteligencją i ludźmi zamożniejszymi, z szerszej klienteli prawie że nie korzystał. Zwłaszcza chłopci patrzyli na wystawność z nieufnością i trzymali się z daleka. Był dla nich za bardzo dziedziki.

Ludwik Pierwszy nie poddał się. Postanowił wieś zdobyć w inny sposób. Przez żywą reklamę swojej firmy. Przez zbieranie i realizowanie zamówień w dookolnych wsiach i dworach.

Wóz frachtowy, opatrzony podłużnym szyldem LUDWIK FORTUNAT, z furmanem na koźle i w asyście na ludowo ubranego subiekta, po ostentacyjnym przejeździe przez ulicówkę wiejską przystawał na skrzyżowaniu dróg i zaczynała się sprzedaż na miejscu towarów bardziej chodliwych i zbieranie zamówień na inne zakupy.

Przez sklep i jego dwukonną agencję Ludwik Fortunat pragnął służyć lepszej sławie prowincji. Wbrew i na przekór dysproporcjom pomiędzy wielkim miastem a podłą miejsciną zdegradowaną do rzędu osady.

Był jednak sam i chciał być sam, i nikogo za sobą nie pociągnął. Więcej zależało mu na imponowaniu niż na pracy u podstaw, gdybyśmy go chcieli uznawać chociażby za neopozytywistę.

Prawdę mówi przysłowie: kto chwyta dwie sroki za ogon, nigdy na tym dobrze nie wyjdzie. Pan Ludwik chwytał nie tylko dwie, ale kilka srok za ogon i jeszcze pod ogon zaglądał. Zwłaszcza tym, co zadzierały ogona.

Był nie tylko kupcem wyuczonym w swoim zawodzie, ale chciał być również obywatelem ziemskim. Kochał się w koniach, dzierżawił ziemię i udawał dziedzica żyjącego za pan brat z okolicznym ziemiaństwem.

Tymczasem w sprawach rolnych był ignorantem. Na jego polach ziarno gniło, a chwasty, jakby one były panami, panowały wszechwładnie. Chabry, maki, kąkole, oset, ognicha — kwiaty w całym znaczeniu polskie, gdyby swój rodowód wyprowadzały ze źle uprawnych pól.

Doprawdy nie wiem, co sobie myślał, kiedy konno objeżdżał pola i oglądał zbiory chyba nie dla ich wątpliwych plonów, lecz raczej dla ich jakże kolorowej malowniczości.

Podobno, ręczyć nie mogę, utrzymywał, że kwiaty polne jako przyprawa do paszy dodają pikantnego smaku. Zaostrzają koniom apetyt.

Gospodarz od siedmiu boleści, przedmiot drwin i żartów, tym bardziej zabawny, że nic sobie z tego nie robił i różne przytyki na tym polu w sposób rozbrajający brał za dobrą monetę. Tak chciał być obywatelem ziemskim za wszelką cenę.

Jako prawy szlachcic, gdyż chociaż był kupcem, za szlachcica się uważał, w myśl odwiecznych tradycji lubił dobrze zjeść i popić, szczególnie w towarzystwie ludzi dobrze urodzonych.

W karczmie szukać smaku, to już trzeba nie mieć smaku. A poza karczmą innego lokalu publicznego, żeby się było można jako tako pożywić, głód i pragnienie zaspokoić, nie ma, choćbyś szukał i nadszukał. Pan Ludwik nie pozwolił na siebie długo czekać.

Uczyć ludzi jeść i pić, sztuka niemiała i niełatwa, mawiał trawestując słowa Sędziego o grzeczności. Mawiał nie na próżno. Od słowa

przeszedł do czynu. Otworzył na parterze, w przedłużeniu skrzydła sklepowego, restaurację POD FORTUNĄ z doborem potraw zaspokajających najbardziej wybredne gusta miejscowych i zamiejscowych smakoszy.

Sprowadził z Warszawy kucharza, z którym ustalał codzienne menu, i wyszkolił kelnerów, jakby i w tej branży znał się na rzeczy. Pod jego okiem pokoje jaśniały światłem żyrandoli elektrycznych, stoliki przemawiały niepokalaną czystością obrusów i błyszcząły od kryształów.

Pan Ludwik promieniał i zacierał ręce, zwłaszcza przy udanych kolacjach, które zaczynały się od bigosu po polsku i kończyły na bigosie w głowie. Swego rodzaju przykład krajowego stylu w przednim gatunku.

Wódka najwyższej gatunkowa. Na pierwszy ogień wino Burgund, węgryzn. A szampan pod północ o godzinie wirujących stolików, które nie bez pomocy ludzkiej wystukiwały:

*Już północ nadchodzi, dwunasta godzina,
Warto by popić POD FORTUNĄ wina,
Bo w całej guberni lepszego nie mamy,
Słusznie tak głoszą ludzie i reklamy.*

Jak po wirujących stolikach, po restauracji więcej zostało legendy niż prawdy.

Zaprawdę! Strasznym nieszczęściem jest wielka reprezentacja. Rację miał Stary Subiekt i racja ta sprawdziła się na Ludwiku Fortunacie w znacznie większym stopniu niż na Stanisławie Wokulskim.

W myśl szlacheckiej, a wbrew kupieckiej zasadzie: postaw się i zastaw! — reprezentacja pochłaniała niemałe sumy. Mimo, że obroty i dochody proporcjonalnie malały, a długi i wydatki proporcjonalnie rosły. Jedne wprost, a drugie odwrotnie.

Już samo utrzymanie dwudziestu koni, stangreta i woźniców przede wszystkim, poza dwukonną agencją i końmi gospodarczymi, od parady, było wydatkiem na rzecz próżności, powiedzmy sobie szczerze, prowincjonalnego parweniusza. Rodzimego chowu papugi i pawia w jednej osobie.

Sanki, czerwona siatka na konie, białe lejce w ręku stangreta w liberii, a w innych porach roku powóz w drodze do kościoła na niedzielne nabożeństwo. Powóz dla państwa, lando dla gubernera i trojga dzieci, wolant dla subiektów na majowe nabożeństwo do oko-

licznych kościołów. Przejazdki świąteczne dla dodania sobie i swoim splendoru wątpliwej wartości. Ku ucieście i podziwowi gawiedzi.

Do tych niepotrzebnych ekspensów dochodziły bankiety. Kucharz z Płocka. Bogactwo dań niezwykle urozmaicone. Czegóż na tym wystawnym stole nie było? Zimne zakąski. Kawior i węgorz, a nawet ostrzygi. Pieczeń sarnia, indyki, mięsa najprzedniejszego gatunku, torty, owoce wschodnie. Wina w wybornych odmianach i likiery obco-krajowe pod kawę. Tytoń turecki w papierosach, cygara hawańskie.

Bankiet dla ziemiaństwa i miejscowej inteligencji. Toasty wracają i powraca w nich Pan Ludwik. Coraz tęzsze humory i coraz więcej animuszu. Nikt o głos nie prosi, a on mimo to zaczyna: — I wy mnie pytacie z pijanym hałasem...

Czarnym oplół się szalem i błyska kindziałem, nie wiadomo czyim: Puszki? Ujejskiego? Zabójczy wzrok wbija w postać u tamtych podwoi. Ktoś stanął!... czy posąg?... Nie... Żona tam stoi.

Ileż wkładał w swoje aktorstwo fałszywie pojętego patosu. Jakby gwałtownym gestem rozdierał szaty i serce zarazem. Do łez wzruszał swoją kabotyńską afektacją.

Bisom nie było końca. A kiedy już w uszach od nich dzwoniło, uderzał w dzwony: — Tyle dzwonów. Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą? — To ostatnie pytanie jeszcze było najbardziej sensowne.

Marsz pogrzebowy, tym razem na pewno więcej Ujejskiego niż Chopina: ... po twarzy coś zimnego cieknie. Przez nadzieję — w grób. Zachwiał się. Biesiadnicy usłudni wyskakują z miejsc. Biegną na pomoc, a on z siłą godną lepszej sprawy:

Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczęście,

Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście.

Argument nie do pokonania. W tej konfiguracji marsz żałobny w ogóle przestał być żałobny.

Epigon romantyzmu mniej pożałowania, więcej śmiechu godny. Wokulski, gdyby nie zginął pod gruzami przeżytków, skonałby ze śmiechu, chociaż jako sensat do śmiechu nie był skłonny.

Z innych wcieleń Ludwik, jako Pierwszy, utrwalił się w szamowanym mundurze i w łuskach kasku strażackiego.

W stroju paradnym z toporkiem przy boku na czele straży ze sztandarem i orkiestrą służył jako naczelnik. Pierwszy w uroczystościach i niezawodny w ćwiczeniach strażackich.

Trzeba go było widzieć na placu ćwiczebnym. W gestach i w decyzjach błyskawicznych. Wiadomo, napoleońskich. Bez pożaru mir widziało się jak na dłoni. A ileż niezapomnianych chwil zawdzięczał mu park miejscowy, gdzie odbywały się zabawy strażackie. Feeria najpiękniejszych festynów z lat i dni kolorowych. Jedynych w swoim rodzaju.

Dwie orkiestry na przemian. Loteria. Wóz cygański z koszami szczęścia. Atrakcje w workach. Wspinanie się po słupie śliskim od szarego mydła. Poczta francuska. Serpentyny, confetti. Bufet pełen pikantnych kanapek. Napoje wysokowe, szumne i dla ochłodzenia. Cukry, ciastka, torty, czekoladki, karmelki. Owoce do wyboru i smaku. Krajowe zagraniczne. Stoły, stoliki dzwonią szklankami i kieliszkami.

Zabawa na całego. Przede wszystkim tańce. Wir strojów barwnych i par tanecznych. Oberek z ogniem, polka skoczna i posuwisty walc. Pod mostami Paryża. Nic podobnego. Za trzema mostami Zamojskimi. Cóż by kanclerz powiedział? W jego parku bezpieczeństwa co za dziwne państwo.

Zmierzch przechodzi w półmrok gwiazdami wyszywany. Zapłonęły chińskie lampiony. Tańczą na drutach. Ogień sztuczne, fajerwerki fontannami iskier tryskają w niebo. Chwila osobliwa i pełna oczekiwania. Trębacz strażacki jako herold gra fanfarę. Poloneza czas zacząć.

Ludwik Pierwszy przy boku królowej zabawy orkiestrze daje znak. Pary za parami. Korowód pod Ogińskiego z ogniem.

Jakby miał w ręku laskę czarodziejską, a nie berło wodziera. Pochód rusza żywą a barwną seprentyną, która się rozwija i odpływa, tak że plac zabawy stopniowo pustoszeje.

Alejami i ścieżkami w ciemną głąb parku. Polonez sunie wśród drzew. Jest coraz dalszy. Jedynie echa odpowiadają. Już nikt nie myśli o polonezie. Wśród krętych ścieżek w ciemnej gęstwinie parku każdy, kto może, korzysta z okazji. Zamiast par tanecznych, pary w miłosnych oplotach. Kradzione pocałunki, gra rąk niecierpliwych, chichoty, głosy protestu i salwy śmiechu. Rozgwar to wzmaga się, to cichnie, zależnie od skupienia drzew i krzewów.

Wśród tych korowodów czyżby nie mógł zapytać domorosły bywalec rodzimego Stratfordu: Jak wam się podoba? To nie park, to Las Ardeński. Poszukiwanie Rozalindy. Niestety, śpiew skądinąd. Z operetkowego *Barona cygańskiego* pod akompaniament orkiestry, która

zagłuszyła poloneza. Wyzwoliła walc, który rośnie, coraz bardziej zbliża się, aż do chwili, kiedy wyłoni się z ciemności parku.

Powrót Ludwika Pierwszego z wybraną damą serca przy boku był prawdziwie królewski. Z koroną kwiatów na głowie i z berłem już nie wodzireja, lecz barona wśród swoich poddanych.

Takie były zabawy w one lata.

Grać zawsze pierwszą rolę. W tym widział, poza pracą, styl swojego życia. Nawet wobec Boga i jego doczesnego przybytku. Nie darmo przecie jeździł na sumę do kościoła z wielką paradą, z którą nie za-jeżdżał nawet dawny pałac.

Zakupił Madonnę do bocznego ołtarza. Zakupił żyrandole do kaplicy, mieniającej się od kryształowych refleksów. Dzięki temu uzyskał prawo do honorowej ławki kolatorskiej własnym sumptem zakupionej. Sam zresztą w niej nie siadał. Obok ławki stał osobny klęcznik z pulpitem mahoniowym i podnóżkiem szkarłatnym.

Przez całe nabożeństwo klęczał i oczy tak wysoko podnosił, jakby bezpośrednio rozmawiał z Bogiem lub przynajmniej prosił o list polecający z poczty doczesnej, niegdyś ojca i teścia, do poczty niebieskiej.

Jako dobry chrześcijanin dawał co niedziela rubla na tacę, a w święta bardziej uroczyste nieraz i pięćrublowka padała ze szlachetnym dźwiękiem. A cóż mówić o dorocznych kwestach i kolędach. Wtedy już szły w robotę imperiały Wokulskiego.

Kościół znajdował się na drugim końcu miasteczka, a Ludwik Pierwszy, niczym Ludwik Święty, chciał mieć kaplicę w pobliżu własnego Belwederu. Oczywiście nie na miarę kaplicy zamkowej czy pałacowej. W skromności ducha pewnie mniemał, że Bóg Ojciec bardziej sprzyja niskim progom niż wysokim, na których łatwo można się potknąć.

W połowie domu rodzinnego, z oknami niemal sięgającymi do ziemi, urządził ołtarz Matki Boskiej, gdzie co dzień odprawiano litanie maryjną pod przewodem Św. Frymrowej, co świętą wcale nie była. Po prostu zwyczajna dewotka. Tercjarka.

Zwłaszcza litanie majowe i różańce cieszyły się popularnością prawie że kościelną. Zamykało je sakramentalne wezwanie: Na intencję pewnej osoby zmówmy jedno Ojcze nasz. Co tu ukrywać? Każdy aż nadto dobrze wiedział, o kogo chodziło. Ludzie nie są tak bardzo naiwni.

Niby to bezimiennie wobec Boga kapitalizował swoje dobre intencje i uczynki. Zresztą realizowane na serio. Nie w sposób gołosłowny. Z własnych środków materialnych i zbywających zasobów.

Jako filantrop przychodził biednym z pomocą przy rozdzielaniu produktów częściowo nadpsutych lub uszkodzonych, a jeszcze jadalnych. Zwłaszcza pamiętał o ludziach starszych, bez środków do życia.

Swego czasu w stanie surowym wybudował dom dla starców, lecz bez poparcia czynników miarodajnych i społeczeństwa zrezygnował z wielkodusznych planów i dom, jak to mówią, na pniu odsprzedał. Nie bez straty.

Nie zrezygnował jednak, tylko swoją opiekę społeczną ograniczył. Wynajął u Pypki lokal dla niedołączonych staruszków i karmił ich zbywającymi potrawami z prowadzonej przez siebie restauracji.

Sam chciał być instytucją i do czego rękę dołożył, sam musiał subsydiować. W swej prywatnej inicjatywie, poza pożyczkami wysokoprocentowymi i obietnicami, żadnego poparcia nie znajdował. Za bardzo były osobiste i ambicjonalne jego pańskie gesty, których nikt na serio nie brał.

Fundusze topniały. Czas najwyższy pomyśleć o oszczędnościach. Tym więcej że długi zaczęły rosnąć i weksle coraz bardziej dawały się we znaki. Szły do protestu. Postanowił więc wprowadzić pewne ograniczenia, jakich nikt w żadnych rachubach nie przewidział.

W wydatkach na rodzinę.

Ludwik, w przeciwieństwie do Stanisława Wokulskiego, żadnego dramatu w wielkim stylu z Panną Izabelą nie przeżył. Dopiero w kilka lat po ślubie spięcia dramatyczne, raczej bez winy żony, zaczęły nabierać na sile.

Całe szczęście, że się przez ironię losu Wokulski nie ożenił ze swoją Izabelą, mawiał nieraz Ludwik o Stanisławie.

Belunia, Belcia, a w końcu po prostu Belka, typowa warszawianka, lubiła się stroić i błyszczeć. Tym więcej, że była zgrabna i uwodzicielska. Toteż dopóki mężowi imponowała i schlebiała jego próżności, stroił ją podług ostatnich żurnali paryskich. Z groszem nie potrzebowała się liczyć. Na niczym jej nie zbywało.

Chciał mieć nie tyle lalkę, ile lalczkę na każde wezwanie, do własnej prywatnej dyspozycji, a tymczasem między nimi stanęły podrastające dzieci. Córka i dwaj synowie.

Ojciec, jako głowa domu, na wzór staropolski dzieci trzymał w karchach. Traktował w sposób bezwzględny i za najmniejsze uchybienie karcił surowo. Toteż dzieci panicznie bały się ojca, a garnęły do matki, bo zawsze brała je w obronę przeciw despotyzmowi męża.

Dochodziło do scysji, utarczek wzajemnych i awantur z pogroblem naczyń stołowych znajdujących się pod ręką. Skandal z wesółych bagnisk i naturalnie bez skandalu zawieszenie broni. Z przeproszaniem, padaniem na kolana i całowaniem nóżek. Nie na długo. Do nowej awantury.

Najgorszą torturą dla całej rodziny był obiad. Panowała przy nim atmosfera nie do zniesienia. Przy solowych popisach ojca — to była sól gorzka, niesolowa — z lada powodu i bez powodu można było znaleźć się za drzwiami. Całe szczęście, jeśli bez rękoczynu.

Jeszcze w domu, nawet w obecności guwernera, można było to i owo wybaczyć względami natury wychowawczej z czasów króla Ćwieczka, którym despotyczny Ludwik Pierwszy patronował, lecz stokroć gorzej przedstawiała się sprawa poza domem.

Do starszego syna, wysłanego przez matkę po tygodniówkę, w przyływie złego humoru potrafił bez ceremonii powiedzieć: — Nie znam pana. Proszę wyjść. — Młodszego, że sięgnął do szuflady po jeden z karmelków, uderzył w twarz. Wobec subiektów i klientów znajdujących się w sklepie.

Córka przy spotkaniu ojca na ulicy była zobowiązana grzecznie podejść i przywitać przez pocałowanie ręki. Bez względu na to, ile razy w ciągu dnia mogło nastąpić takie poniżające spotkanie.

Pamiętam, nikogo to nie oburzało. Przeciwnie, ojcowie widzieli w tym wzór manier wychowawczych, przykład godny naśladowania. Nie z dołu, lecz z góry. Od czynników nadrzędnych, bardziej miarodajnych. Podobne rządy domowe Ludwika samodziernicy zmuszały matkę do wystąpień sesyjnych od łoża i coraz bardziej rozkładowo wpływały na więź rodzinną i w ogóle małżeńską.

Tym bardziej, że w mężu obudził się Don Juan. Miejscowym pańskim gestem potrafił zaimponować i zawrócić w głowie. Urodą wprawdzie nie grzeszył, ale umiał zaloty swoje cukrować słowami. Układał wierszyki i udawał poetę. Gadał dużo i bez sensu.

Damie serca prawil dusery, posyłał pudła czekoladek, wiązanki róż, kosze owoców. Oporną przekupywał prezentami, nieraz dosyć kosztownymi. A kiedy przynęta chwyciła, powóz, cztery konie i do lasu.

Był zdobywczy i mało która mogła mu się oprzeć. Nawet wzór cnoty mieszczańskiej, Pani Doktorowa, kiedy nogę złamał w romantycznych okolicznościach, niefortunnego z afektacją pielęgnowała.

Oczywiście romanse nie bez pogroźek i gromów wołających, broń Boże nie z ambony, o pomstę do nieba. Żona rej wodziła. Dokładała wszystkich starań, aby męża swego ośmieszyć i skompromitować. Wybić amory z głowy i skruszyć jawnogrzeszniaka.

Na nowe sukcesy wśród pań z towarzystwa już nie mógł liczyć. Po separacji definitywnie zerwał z domem i zemścił się na swojej rodzinie w sposób wyrachowany. Dosłownie, w środkach na utrzymanie.

Matka wraz z dziećmi znalazła się w trudnych warunkach materialnych. Przyzwyczajonej do nieliczenia się z groszem przypadło żyć z łaski pana domu, który coraz bardziej wlaził w skórę liczykropy. Nawet ziemniaki, i to co gorszego gatunku, odważał skrupulatnie na funty.

Dzieci, jeśli nie głodowały, to jedynie dzięki zaradności i talentom gospodarczym matki. Bez zaniedbania, zawsze szykownej i pełnej pomysłów. Przegranej, a jeszcze wciąż walczącej.

Nieco lepszy obiad zyskała w niedzielę za obecność przy boku męża w czasie jazdy powozem do kościoła na sumę i z powrotem. Już nie miała dawnego znaczenia, a jeszcze służyła do reprezentacji, do afiszowania się i mydlenia oczu.

Mieszczańska moralność. Nie tyle biedulska, ile farsowo dulska. Nie zniweczył jej nawet ogień dwóch największych wojen. Jeśli kto je wygrał, to pierwszą kobiety, a drugą dzieci. Wyzwoliły się spod tyranstwa domu i ciasnych, zamkniętych w sobie ścian życia rodzinnego.

Za jaką cenę, to już sprawa inna i wielce dyskusyjna.

Ludwik Pierwszy przestaje być pierwszym. Jest drugim, trzecim, piątym, dziesiątym. Liczyć nie warto. Długi bankowe i wekslowe grożą firmie bankrutem. Hipoteka coraz większa. Licytacja wisi na włosku. Pozorom świetności trudno już ufać. Zamiast balzakowskich blasków — balzakowskie stracone złudzenia.

Wówczas w sukurs przyszła wielka wojna światowa. Spadek kursu rubla, a następnie katastrofalna dewaluacja marki wybawiły dłużnika z opresji. Milionem o wartości pudełka zapalek spłacił mniejszego dłużnika, a większego bajońską sumą krociowych milionów za worek cukru. Formalnie trzymał się sztywno litery prawa i nie miał żadnych innych skrupułów.

Z długami poszło jak z płatka, lecz pieniędzy i w ogóle kredytu na prowadzenie interesu już zdobyć nie potrafił. Normalny handel się nie opłacał, a do szmuglu nie miał głowy i ochoty. Doszło do tego, że w towary kolonialne pierwszej potrzeby zaopatrywał się u miejscowych Żydów.

Konie, niedobitki, zarekwirowało wojsko, piekarnia przestała istnieć z powodu braku mąki, elektryczność zaczęła wyprawiać fiku miku i w końcu zgasła na dobre, restauracja spadła do rangi zwykłej jadłodajni, oczywiście z przejściem do wyszynku pospolitej siwuchy.

Sklep robił bokami, ale jeszcze się bronił jak mógł. Co najmniej o dwie kategorie niżej od dawnego. Był za przestronny, za wielki w porównaniu do swojej egzystencji wegetatywnej.

Towary w szafach markowały mniej lub więcej ozdobne pudła i pudełka. Bez wina puste butelki dekoratywnie przystrojone karbowaną, kolorową bibułą zeszyły z górnych stanowisk i wstąpiły do szaf jedynie dla pustej reprezentacji.

Politura kontuaru już nie świeciła blaskiem lakieru. Przepadły torby i torebki firmowe. Zamiast nich w najlepszym razie papier szary i z braku laku gazety.

Subiekci zniknęli. Poszli wojować lub znaleźli sobie lepsze zajęcie. Zamiast nich pojawiły się ekspedientki, które przestoje w sklepie, a było ich coraz więcej, spędzały w sposób bałamutny. To znaczy, że pryncypał dziewczęta po kupiecku tresował i bałamucił.

Nazywało się to wprowadzaniem w arkana handlu. Pouczał, jak należy towar zakupiony przez klienta pakować, i kiedy praktykantka ćwiczyła sprawność i precyzję rąk, sięgał niby pod ladę po towar ukryty.

Był przy tym bardzo przedsiębiorczy i chętnie korzystał ze swej przewagi kupieckiej. Dziewczęta łase na słodycze, kiedy pryncypał głowę odwracał, jak się później okazało, świadomie, korzystały z karmelkowej okazji. Cukierki błyskawicznie ginęły między dwoma wypukłościami bluzeczki.

Zwierzchnik miał jednak oko argusowe. Ekspedientki utrzymywały, że nie jedno oko, lecz cztery. Oczywiście z okularami. W konsekwencji własną łapą pchał się tam, gdzie nie trzeba, i przeprowadzał rewizję. Palił reprimendę i w dowód wielkoduszności zamiast gorzkiego wyroku następowało słodkie ulaskawienie.

Przy tego rodzaju atrakcyjnych urozmaicheniach czas się bynajmniej nie dłużył, a drażniąca, ponętna obecność dziewcząt dodawała mu pi-

kanterii. Sklep przestał być porządnym sklepem. Zmienił swój charakter użytkowy, stał się przybytkiem lekkich obyczajów.

Jeszcze pół biedy, kiedy był otwarty, lecz po zamknięciu przy rozliczeniach podobno odgrywały się sceny o wiele mniej obyczajne. Przy najmniej podług zdania tych, którzy patrzyli przez szpary źle domkniętych okiennic. Na Boga się zaklinali, że mówili prawdę. Pewnie mieli na myśli boga przez małe b, tego, który miesza prawdę ze zmyśleniem.

Raczej bliżsi prawdy byli ci, którzy utrzymywali, że bagno rozpanoszyło się nie tylko w dolinie Niecieczy, lecz i wtargnęło tam, gdzie miało być przezwyciężone. Przy panujących stosunkach nie mogło być inaczej.

Ludwik, już nie wiem który, narzekał na dewaluację. A tymczasem dzięki niej wyzwolił się od długów. Stokroć gorsza okazała się stabilizacja. Waluta podniosła swoją wartość i długi hipoteczne okazały się groźne. Zwłaszcza przy braku kredytów.

Willę, już nie tak piękną, ale jeszcze w dobrym stanie, kupił pewien Amerykanin miejscowego pochodzenia. Nie lepszy los spotkał również kamienicę. Właśnie za długi przypadła gminie, która na siebie przyjęła hipoteczne obciążenia. Właściciel musiał się zadowolić jedynie niewielką sumą spłaty na lez otarcie.

Dzięki niej sklep jeszcze przez pewien czas prosperował, lecz już w warunkach znacznie skromniejszych. Z dawnych ekspedientek pozostała ledwie jedna. Jak się potem okazało, najbardziej przedsiębiorcza. Ta już, dobrze wyedukowana, z pryncypałem dała sobie radę i nie tylko w sklepie zaczęła się rządzić jak szara gęś. Kołysała się w biodrach i dlatego ludzie nazwali ją Biedrzycką.

Umiała schlebiać próżności swego pana i w dowód łaski zyskała zapis na zagon i stodołę. Niestety, przyszła burza i w stodołę uderzył piorun. Spaliła się do szczytu i plac przez pewien czas leżał bezużyteczny.

Ktoś pod klepiskiem odkrył znacznie lepszą glinę i nie wiadomo kiedy na miejscu dawnej stodoły wykopano dół. Przyszły ulewne deszcze, wezbrała woda przygruntowa i powstał kanał. Potem ni z tego, ni z owego zaczęto mówić, że w nim zapadła się stodoła. W ten sposób ogień połączył się z wodą. Legenda i kara boska zrobiły swoje. Tymczasem sklepiki żydowskie swój handel ożywiły i, na ironię, zaczął się bojkot sklepu polskiego. Mało kto do niego zaglądał, jakby był co najmniej zapowietrzony. Położenie gorsze od krytycznego. Postanowił zatem interes zlikwidować.

Sklep przeszedł w ręce jednego z byłych subiektów, a pryncypał ze szczupłym kapitałem policytacyjnym i ze swoją pryncypalną flamą ruszył do stolicy szukać szczęścia po raz drugi. Szukać wiatru w polu. W dzielnicy peryferyjnej, gdzie rzeczywiście wiatr był najbardziej natarczywym klientem. Natarczywym i niezawodnym.

Otworzył nie sklep, lecz sklepik, w którym większy ruch panował jedynie w godzinach porannych i wieczornych, kiedy robotnicy szli i wracali z pracy do domu. Czekać na klienta nie na wiele się przyda. Toteż kiedy ruch zamierał, sklep zostawiał na łasce ekspedientki, a sam, niby to w sprawach nie cierpiących zwłoki, ruszał tramwajem do śródmieścia.

Szukał lepszego towarzystwa wśród starych, niegdyś zamożnych kupców i wśród zbankrutowanych ziemian. Podawał się za ofiarę wojny światowej, w której stracił wszystko, co zdobył pracą i losem szczęścia.

Żył resztkami dawnej świetności i plótł niestworzone historie o swoich sukcesach. O powodzeniu wśród kobiet i o podbojach miłosnych. Jakby był co najmniej Casanową. Brylował za gratis. Kosztem własnym. Na poziomie prowincjonalnej szmiry i zgrywającego się komedianta. Czarny szal włókł się za nim, a dzwony nie przestały grać marsza żałobnego.

Z tymi dzwonami dobrnął do drugiej światowej. Już nie ekspedientka, lecz raczej współniczka, od dziadygi, jak się wyrażała z pogardą, wycygała, co mogła, i kiedy syreny zawyły na alarm, rzekłbyś, porwana podmuchem bomb, zniknęła z horyzontu.

Wróciła do swoich stron i zaczęła kokietować Pana Boga. Oczywiście nie jako zakonnica. Miała zmysł handlowy i była jeszcze do wzięcia.

Po klęsce wrześniewej nastąpił drugi powrót Ludwika Fortunata, tym razem już nie fortunnego. Wyglądał na uciekiniera, co z własnych ruin się wydobył — bez środków niezbędnych do życia.

Mimo to jeszcze się nie poddał. Kupcem być nie przestał. Znalazł przypadkowego współnika, wynajął lokal i dzięki pomocy miejscowego doktora oraz proboszcza otworzył sklep spożywczy na ulicy Warszawskiej.

Na szyldzie nazwisko zyskało nowe brzmienie i nowy tytuł: LUDWIG von FORTUNAT. Widocznie w nowej sytuacji wrócił do operetkowego Barona, gdyż folksdojczem nie był i po dawnemu uważał

się za Polaka. Tylko tego nie chciał manifestować. Tytułem pańskim być może usiłował dopasować się do narodu panów.

Trudno uwierzyć, a jednak ponad wszelką wątpliwość najbardziej prawdziwy był zwłaszcza w swoich sprzecznościach. Te sprzeczności wyzwały w nim energię, którą trwonił z niebywałą pomysłowością.

Miał 71 lat, a jego ekspedientka te same cyfry, tylko w odwrotnym porządku. Mimo to jeszcze się zalecał, jeszcze chciał się podobać. A kiedy powiedziała, że szpecą go brodawki, poddał się operacji i z plastrami na twarzy chodził pożałowania godny.

Najlepiej czuł się na zapleczu w swoim pokoju. Śpiewał psalmy, godzinki i inne pieśni nabożne, a z góry moja gosposia, wówczas w lat zaraniu, wtórowała mu na mandolinie.

Szczęśliwie przeżył okupację i doczekał się pierwszych lat wolności, do której w żaden sposób nie pasował. Za bardzo pokutowały w nim przeżytki, za bardzo był człowiekiem prywatnym i w dążeniach nie uznawał innego konta, prócz własnego, aż do wyczerpania i do nadużycia. Z Niecieczy powstał, Nieciecz poruszył i do Niecieczy wrócił. Nie tyle w sensie rzeki, ile życia samego.

Wyzuty ze sklepu, żył nim dalej jako maniak. Wciąż szukał nowych współników i nie mógł znaleźć. Nikt nie chciał nawet słuchać. Traktowany jako natręt spotykał się nierzadko z drwiną w rodzaju: Nie znalazłem pieniędzy na ulicy, żeby się z panem dzielić.

Miał żelazne zdrowie i żyłby nie wiem jak długo, gdyby jako głodomór nie został przez jednego z domniemanych współników ufetowany na umór. Z przejedzenia w nocy brzuch się pokiełbasił. Skręt kiszki. Lekarza wezwano poniewczasie, Z ostatnimi słowami: Moje uszanowanie! umarł bez ratunku w zupełnym opuszczeniu.

Pochowany został w granatowym garniturze, starym, wytartym i haniebnie poplamionym. Jakby to był strój starego lokaja, którego pan w niebywały sposób życie roztrwoniał, chociaż uśmiech szczęścia tak wiele zapowiadał.

W dniu pogrzebu odezwała się trąbka strażacka. Na pożegnanie. Jak kiedyś pocztyliona. Na powitanie.

Straż i orkiestra odprowadziły swego dawnego naczelnika na cmentarz. Syrena zawyła. Nie żadna warszawska. Zwyczajna, pożarnicza. I nie na żaden pożar. Płonęły cztery pochodnie. Bez znaczenia.